Anastazja Olech

Nadzieja

Był to zimny, grudniowy wieczór.
Śnieg spadał na ziemię niczym gwiazdy, a wiatr świstał, jakby kto dmuchał w gwizdek. Byłam wtedy w swoim pokoju i przygotowywałam się do Wigilii. Spojrzałam na kalendarz: 24 grudnia 1924 roku. Trudno było uwierzyć, jak czas szybko mija. Niedawno był początek miesiąca, a już za rogiem czyhał nowy, nieznany nam jeszcze rok.
Stałam przed lustrem a przy mnie stała moja pokojówka, Zosia, która mnie ubierała. Miałam na sobie przepiękną suknię balową, specjalnie zamówioną na ten dzień. Była zielona niczym szmaragd, uszyta z tafty. Rękawy były krótkie, ale tak bufiaste, że materiału wystarczyłoby aby zakryć całą rękę. Spódnica była rozkloszowana niczym dzwon, sięgająca do ziemi.
– Teraz uczeszę panienkę – powiedziała Zosia, uśmiechając się.
Usiadłam przed toaletką a Zosia zaczęła spinać moje długie, brązowe jak jesienne liście włosy w koka. W świetle ognia z kominka miały kolor rdzy. Gdy Zosia skończyła upinać włosy, założyła wokół mojej szyi krótki sznur mleczno-białych pereł.
– Gotowe, wygląda panienka przepięknie! – krzyknęła Zosia.
Uśmiechnęłam się do siebie w lustrze. Zosia miała rację. Wyglądałam cudownie.
– Wyglądasz ślicznie Marysiu! – usłyszałam znajomy głos za sobą.
Obróciłam się i zobaczyłam ojca stojącego w drzwiach. Wstałam szybko i pobiegłam w jego stronę, żeby się do niego przytulić. Nie widzieliśmy się od bardzo dawna, bo ojciec często wyjeżdżał w interesach.
– Za pół godziny będą goście. Wszystko już gotowe? – ojciec zapytał.
–Tak, jeszcze tylko muszę zanieść na dół prezenty. Czy Ania jest na dole?

– Nie, jeszcze nie jest gotowa.

Ania to była moja dziesięcioletnia siostra, która jeszcze wierzyła w świętego Mikołaja i nie mogłam pozwolić, żeby zobaczyła jak schodzę z prezentami do salonu.
Podeszłam do biurka, na którym leżała nowa lalka dla Ani, książka dla taty, puzzle dla mojego dwunastoletniego brata Janka, zestaw do wyszywania dla mamy oraz kilka prezentów dla osób ze służby.

Kartka z 1925 roku [źródło: Polona]

Wzięłam te wszystkie rzeczy i zaniosłam na dół, sprawdzając czy nikt nie idzie.
Weszłam do salonu i poczułam cudowny zapach choinki. Była ona ozdobiona jabłkami, orzechami, niczym ciastko udekorowane posypką. Już widziałam, że pudełka czekały na nas pod choinką i zaczęłam się zastanawiać, co dostanę w tym roku.
Delikatnie położyłam prezenty na podłodze, i cichutko odeszłam od choinki.

Nagle usłyszałam samochody podjeżdżające pod nasz dom.
Poszłam do przedpokoju, gdzie już czekała mama z tatą i moje rodzeństwo.
– Przepięknie wyglądasz Izabelo – powiedziała mama, a za nią Ania i Janek kiwali głową. Tak naprawdę miałam na imię Izabela Maria, ale nie lubiłam mojego pierwszego imienia, więc prosiłam aby się do mnie zwracano moim drugim. Wszyscy zawsze robili tak, jak ich o to prosiłam, oprócz mojej mamy.

Usłyszałam pukanie do drzwi, które zostały otwarte przez Franciszka. Lokaj ukłonił się nieco i zaprosił gości do środka. W szumie, który dobiegał zza drzwi, zobaczyłam wujka Henryka, ciocię Tedzię i mojego kuzyna Edwarda. Ostatnio widzieliśmy się, gdy on miał 13, a ja 11 lat. Został wysłany do Krakowa, gdzie chodził do szkoły z internatem. Po jej ukończeniu pojechał do Wiednia, by studiować medycynę. Teraz był dorosłym, dwudziestotrzyletnim mężczyzną.
– Henryku! – krzyknął wujek, gdy zobaczył mojego ojca. – Jak dobrze cię widzieć! Kiedy ostatnio spędzaliśmy Święta? Będzie już z osiem lat!
– Tak, a wydaje się jakby to było wczoraj! Franciszku, weź proszę kurtki gości; niedługo reszta powinna dojść.
Zanim Franciszek zdążył wziąć wszystkie płaszcze, przyszedł brat mojej mamy, wujek Piotrek ze swoją żoną, Lidią i dwiema córkami; Kasią i Basią. Kasia i Basia były bliźniaczkami, i bardzo dobrze dogadywały się z Anią, bo były od niej tylko o rok starsze.
– Skoro już wszyscy są – powiedział mój ojciec – to usiądźmy do stołu.

Przeszliśmy razem do jadalni, śmiejąc się i ciesząc, że znowu wszyscy jesteśmy razem. Po złożeniu sobie życzeń i podzieleniu się opłatkiem, usiedliśmy przy stole. Usiadłam między ciocią Lidią a Edwardem.
– Dawno się nie widzieliśmy – zaczął.
– Tak – uśmiechnęłam się pod nosem – Mamy sobie dużo do opowiedzenia. Jak było w Wiedniu?
Edward zaczął mi opowiadać o studiach, i o samym mieście. Byłam kiedyś w Wiedniu, ale jeszcze przed wybuchem wojny. Wszystko o Austrii wiedziałam od mojego nauczyciela niemieckiego, który był rodowitym Wiedeńczykiem.

Po obiedzie, dzieci zaczęły nalegać, żeby otworzyć prezenty. Przeszliśmy więc do salonu, w którym była choinka a pod nią paczuszki, czekające na ich rozpakowanie.
– Dzieci niech rozdają prezenty – powiedział wujek Piotrek, uśmiechając się, tak jak on to miał zawsze w zwyczaju.
Ania, Janek, Basia i Kasia pobiegli pod choinkę, i w pierwszej kolejności zaczęli szukać swoich upominków. W tym czasie Edward i ja zaczęliśmy rozmawiać o Lwowie.
– Kiedy wróciłeś do rodzinnego miasta?
– Po napisaniu egzaminu, w czerwcu. Zacznę pracę dopiero od początku Nowego Roku. – powiedział, a ja słyszałam szczęście w jego głosie.
Po chwili ciszy, Edward spojrzał na pianino.
– Grasz? – spytał.
– Tak, bardzo to lubię.
– Może razem zagramy – zaproponował. Przytaknęłam.
Edward znalazł nuty do utworów na cztery ręce i przyniósł dla siebie drugie krzesło. Zaczęliśmy razem grać kolędy. Po zakończeniu pierwszego utworu, wszyscy dorośli zaczęli klaskać. Uśmiechnęłam się do chłopaka i zaczęliśmy grać następną; reszta zaczęła śpiewać do akompaniamentu. My również się dołączyliśmy. Po kilku kolędach Ania podała mi moje prezenty.
W okrągłym pudełku, czerwonym jak barszcz, który mieliśmy dziś na kolacji, był granatowy kapelusz. Pod papierem znalazłam książkę z utworami Chopina. W pięknej szkatułce przyozdobionej różnymi wzorami znalazłam srebrną broszkę, wysadzaną kamieniami.
– Kochani, już jest 23:00 – powiedziała mama, patrząc na zegarek. – Najwyższy czas pójść na pasterkę.
Zawołaliśmy Franciszka, żeby przyniósł nasze płaszcze. Potem wyszliśmy.

Choć wszyscy byli ciepło ubrani, było nam bardzo zimno. Śnieg opadał wokół nas niczym pióra aniołów. Z każdym krokiem, słychać było odgłos, jakby nasze stopy odgryzały kawałek ziemi. Choć droga do kościoła nie była długa, wydawało się jakbyśmy szli wiele godzin. Gdy nareszcie dotarliśmy do świątyni, usiedliśmy na zarezerwowanym dla nas miejscu. Wszyscy byliśmy pokryci białym puchem. Uklękłam i zaczęłam się modlić; nagle usłyszałam dzwonki przepowiadające nadejście księdza, i zaczęła się msza.

W czasie mszy przestał padać śnieg, więc droga powrotna wydawała się o wiele krótsza i była bardzo przyjemna. Gdy doszliśmy do domu, żałowałam, że już musieliśmy wejść. Nagle poczułam uderzenie w plecy. Szybko się odwróciłam i zobaczyłam, że Janek stał za mną i trzymał kolejną kulę śnieżną. Uśmiechnęłam się i skłoniłam, żeby też w niego rzucić śniegiem. Dołączyli się do nas Ania, Basia, Kasia i Edward.

Gdy to nam się znudziło, postanowiliśmy zbudować bałwana. Ania dobrała się z Kasią, Janek z Basią, a ja lepiłam sam dół z Edwardem. Wiele razy kula nam się nie sklejała i musieliśmy zaczynać od początku, śmiejąc się, że nie jesteśmy dobrymi budowniczymi. Nareszcie udało nam zbudować „nogi" dla śnieżnego człowieka, na które nałożyliśmy tułów zbudowany przez Janka i Basię a na to głowę zrobioną przez dziewczynki.

– Teraz trzeba mu zrobić twarz! – oznajmiła Kasia.

– Wy – wskazała na mnie i na Edwarda, Basia – pójdziecie po marchewkę do spiżarni, a my – wskazała na siebie i na Janka – poszukamy kamieni. Ania i Kasia pójdą po patyki.

Basia, która zawsze lubiła rozkazywać, odwróciła się na pięcie i zaczęła szukać drobiazgów potrzebnych do stworzenia dla bałwana twarzy. Zaraz gdy skończyliśmy budować ludka, wyszedł wujek Piotrek ze swoją żoną, a za nimi stali gospodarze.

– Dzieci – spojrzała na Kasię i Basię ciocia Lidia – musimy już jechać.

– Już? – powiedziały w tej samej chwili bliźniaczki.

– Niestety, jest już późno – powiedział wujek, głaszcząc ich blond włosy, które zawsze mi przypominały miód, płynący po karku.

Obie dziewczynki odwróciły się w naszą stronę.

– Dziękujemy za cudowne Święta. Mam nadzieję, że również za rok je razem spędzimy – powiedziała Kasia, delikatna i subtelna w porównaniu z Basią.

– My również dziękujemy – odpowiedziałam, przytulając je do siebie mocno.

Gdy ich samochód zniknął za zakrętem, mama odezwała się do Ani i Janka:

– Na was też już pora.

Widziałam, że Ania i Janek chcą się sprzeciwić, ale też wiedziałam, że i tak będą musieli usłuchać polecenia mamy.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, zostaliśmy tylko Edward i ja. Uśmiechnął się do mnie i nagle usłyszeliśmy muzykę dochodzącą z domu któregoś z sąsiadów. Rozglądałam się, żeby znaleźć źródło tych odgłosów, ale zanim mi się to udało, zobaczyłam rękę Edwarda.

– Zatańczymy? – zapytał.

Przez chwilę zaniemówiłam. Byłam beznadziejną tancerką, i rzadko tańczyłam, ale uznałam, że dzisiaj zrobię wyjątek. Kiwnęłam głową i włożyłam moją dłoń w jego. Edward mnie prowadził, i starał się nie zauważać moich pomyłek. Patrzyłam mu w oczy, gdy poczułam zimną kroplę która dotknęła moich włosów. Popatrzyłam w górę, bo znów zaczął padać śnieg, zakrywając granatowe niebo.

Nie wiem, jak długo tańczyliśmy. Gdy muzyka przestała grać, Edward się ukłonił a ja pochyliłam lekko głowę. W tym samym momencie wyszedł wujek Henryk ze swoją żoną: oboje rozmawiali z moim ojcem, kiedy znów się zobaczymy.

Wujek Henryk i ciocia Tedzia byli już w samochodzie, gdy żegnałam się z Edwardem.
– Bardzo mi miło było z tobą spędzić czas – zaczął.
– Mnie również.
– Mam nadzieję, że się niedługo zobaczymy.
Chciałam odpowiedzieć, ale zaniemówiłam, gdyż pocałował moją dłoń. Uśmiechnęłam się i zrobiłam krok w tył. Edward wszedł do samochodu, i zanim ruszył samochód, jeszcze na mnie patrzył. Spoglądałam w jego stronę, dopóki samochód nie zniknął w ciemności nocy. W tym momencie pomyślałam „Tak, mam nadzieję”...